

Maryi: Czyń ze mną wszystko, co chcesz. Jeżeli mam umrzeć, jeżeli mam zginąć, jeśli mam krew przelać, na wszystko jestem zdecydowany i gotowy. Za wolność Kościoła nie tylko w Polsce, ale za wolność Kościoła na całym świecie.

W więzieniu powstały też wielkie dzieła Księdza Prymasa: „Rozważania liturgiczne”, „List do moich kapłanów”, rozważania do litanii loretańskiej, szkice kazań, konferencje. Wszystkie to powstało w więzieniu, bo Ksiądz Prymas nie marnował czasu, był wobec siebie bardzo surowy i wymagający.

Takie więc są cechy charakterystyczne osobowości Księdza Prymasa z tego okresu. Do wymienionych trzeba jeszcze dodać modlitwę. Ogromnie dużo tej modlitwy. Z czuwaniami nocnymi włącznie. Ile to razy czuwałem w nocy. Słyszeliśmy rozmowy wartowników — mówili „po wojskowemu”.

Życie modlitwy, życie pracy, twardej bezwzględnej pracy. Wystarczy przypomnieć sobie program dnia w więzieniu, jaki Ksiądz Prymas ustalił. Wstawał o godzinie 5, do 5.45 były modlitwy poranne i rozmyślanie, które sam często prowadziłem. O 6.15 moja Msza święta, o 7.00 Msza święta Ojca, o 8.15 śniadanie, a po nim spacer. Breviarz i czasotka różańca. Od 9.30 była zawsze praca przy stole. Ksiądz Prymas bowiem pisał, tworzył i uczył się. Nie było czasu na bezproduktywne rozmowy. Ja też wiele pisałem. Ksiądz Prymas uczył mnie także języka francuskiego i włoskiego. Wspólnie uczyliśmy się rosyjskiego ze znalezionego starego podręcznika geografii. Potem był obiad, druga czasotka różańca i brewiarz. Od 15.30 do kolacji — prace osobiste. Potem znowu brewiarz, wiecznera, nabożeństwo różańcowe, modlitwy wieczorne i jeszcze lektura prywatna od 20.30. Spoczynek był dopiero o godzinie 22.00. Widzimy więc, jak wypehiony był dzień.

Ksiądz Prymas miał dużo szacunku dla drugiego człowieka. Także dla tych panów, którzy mieli nad nami pieczę. Początkowo odnosili się grzeecznie, ale byli bardzo nieufnie nastawieni. Były momenty, kiedy Ksiądz Prymas właśnie swoim taktem, miłością i otwarcie — mimo iż taką krzywdę mu wyrządzono — zdobywał ich chyba wewnętrznie. Osobiście jestem przekonany, że niejednego zdobył. Opowiem pewien szczegół: Otóż w wieczór wigilijny przed wieczerną wyszliśmy na przechadzkę, by odmówić czasłkę różańca. W pobliżu naszej drogi siedział jeden z tych dyżurnych panów, starszy już wiekiem. Ksiądz Prymas podszedł do niego i mówi: „Pewnie Panu nietarwo jest trwać

dzisiaj na tej służbie. Tam pewnie żona, a może córka, może wnuki czekają na dziadka. Na pewno jest opłatek, choinka u Pana w domu. My byśmy Pana poprosili do celi, no ale Pan by nie mógł przyjść. Ja Panu życzę wszystkiego dobrego”. I coś się w tym człowieku przelamało. Powiedział cichutko, tak, że tylko my obaj słyszeliśmy — „Bóg zapłać, Ojcie! Bóg zapłać, Ojcie”. My — to znaczy siostra i ja — mówiliśmy do Księdza Prymasa: „Ojcie”. Ci panowie mówili per „ksiądz”. Ani biskup, ani arcybiskup, kardynał czy prymas. Tylko kiedy przyjeżdżali panowie z ministerstwa tytułowali: „Ksiądz Prymas” czy „Ksiądz Arcybiskup”. „Kardynał” nie słyszałem nigdy, bo nie mogli się z tym pogodzić. Ja byłem świadkiem tych wszystkich rozmów. Ksiądz Prymas prosił o to.

Ogromnie dużo nauczył mnie Ojciec w dziedzinie szacunku dla drugiego człowieka. A nawet spojrzenia na więzienie. I chyba niepowtarzalną wartością, którą mi wtedy przekazał, było zawierzenie, całkowite zaufanie Marce Najświętszej. Obaj mieliśmy ogromny kult do Matki Bożej. Ksiądz Prymas — Jej Niewolnik, i ja od dziecka — dzięki mojej matce — wychowany w ogromnym kulcie dla Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. To mi zostało do dzisiaj. Ksiądz Prymas nawet pisze o tym: „Ksiądz Stanisław zawsze do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, a ja do Matki Boskiej Częstochowskiej. I czekałszy, która nas wysłucha”. Potem oczywiście obracał to w żart i mówił: „No, Matka Boża nas wysłuchała”. Tak było w chwili rozstania, kiedy wyjeżdżał do Komańczy. Tak było w każdej ważniejszej chwili.

*Siostra Stanisława Niemcezek**

Uwięziony pasterz

Komańcza. Można by ten okres pobytu Księdza Prymasa określić krótko: zwyczajność i prostota. Nie znam tak głęboko duchowości Księdza Prymasa jak jego współwięźni — ksiądz kanonik Stanisław

* Siostra zakonna, Nazaretanka

Skorodecki. Moje wspomnienia dotyczą zwyczajnych, codziennych kontaktów w ostatnim miejscu internowania Księdza Prymasa i związanych z tym naszych przeżyć.

Gdyby na parę dni czy tygodni przed pamiętną datą wigilii Chrystusa Króla w 1955 roku powiedział ktoś, że cichy i ustromy dom w Komańcy stanie się świadkiem historycznych wydarzeń i przyjmie w swe progi Jego Eminencję Stefana kardynała Wyszyńskiego, trudno byłoby nam uwierzyć w możliwość takiego biegu historii.

A jednak tak się stało.

29 października 1955 roku, około godziny 8 rano, przyjechali do Komańcy przedstawiciele KC z Warszawy i oznajmili, że tego samego dnia, za parę godzin, zostanie przywieziony do nas Ksiądz Prymas. Stwierdzili, że ostatnie miejsce jego pobytu nie sprzyja zdrowiu. Władze Państwowe na prośbę Episkopatu o uwolnienie Księdza Prymasa podjęły decyzję, że odład nasz dom będzie miejscem dalszego internowania.

Na taką możliwość byliśmy zupełnie nie przygotowani. Z niedowierzaniem przyjęliśmy wiadomość, że dom ma być natychmiast opróżniony z gości — dotychczas miał charakter domu wypoczynkowego — że nikogo z osób świeckich nie można już przyjmować i jeśli ktoś jest obecny — musi wyjechać.

A byli właśnie w domu filmowcy, nakręcający w Bieszczadach film o generale Świerczewskim pl. „Błękitny Krzyż”.

Zaczęło się zatem gwałtowne uprzątnięcie pokoi i zwijanie sprzętu technicznego. Był ruch, krzątania, pośpiech. Jednak miały godziny i nikt nie przyjeżdżał. Zdawało się już, że wiadomość była nieprawdziwa. Oczekujące siostry porozchodzily się po domu, gdy nagle o godzinie 15.30 zelektryzowało nas gwałtowne dzwonienie do furty.

— Dostojnik jest — krzyknął szofer.

Za chwilę ukazał się Ksiądz Prymas. Był w otoczeniu eskortujących ludzi. Utrudzony 9-cio godzinną jazdą z Prudnika Śląskiego, bardzo blady i bardzo wyniszczony, czekał cierpliwie na pojawienie się siostr. Nadeszła siostra przełożona i inne. Z największym wzruszeniem i czcią witaty tego niezłomnego Człowieka, który miał być odład jedynym z domowników. Eskortujący patrzyli na moment powitania, na nasze przejęcie i szacunek dla Władcy, a podziwiając jego spokój, łagodność i życzliwość, szepnęli na uboczu:

— Ujmującego macie Prymasa...

— My? — pomyślałmy. Dlaczego tylko my, a nie oni z nami. Zarysowały się tak wyraźnie dwa krańcowo różne stanowiska, a przecież wszyscy winniśmy służyć tej samej sprawie: wspólnemu dobru, „dziedzictwu, któremu na imię Polska”. Zrobiło nam się żal tych młodych ludzi. Chodzili niby w dzień, a tak, jakby nigdy nie widzieli światła. Tymczasem matka przełożona zaprowadziła Księdza Prymasa do przygotowanego pokoju. Było to ubogie pomieszczenie, chociaż największe z tych, jakimi dysponował dom.

Od czasu II wojny światowej nie było w domu światła elektrycznego, nie było dostatecznej ilości węgla na ogrzewanie ani odpowiednich mebli, ani nowszych pozycji książkowych. Nie było radia i telefonu. Nie miała też Komańcza, jako miejscowość, ośrodka zdrowia, apteki ani pomocy lekarskiej — oprócz naszej siostry infirmerki i zakonnej apteczki domowej. Postanowiliśmy jednak służyć tym, co będzie w naszej mocy. Bardzo szybko okazało się, jak niewymagający jest Ksiądz Prymas i jak wewnątrznie wolny od wszelkich zbędnych potrzeb osobistych.

— Oddaję wam nowego Pacjenta. Opiekuje się nim — powiedział po krótkiej rozmowie jeden z panów. Niebawem wszyscy z eskorty oddechali. Ksiądz Prymas pozostał już tylko z nami.

Pierwsze pytanie, jakie padło z ust Księdza Prymasa, dotyczyło spraw Kościoła. Powiedzieliśmy tyle, ile na danym etapie wydarzeń było nam wiadome. Resztę pozostawiliśmy tym, którzy na mocy uzgodnień między Episkopatem i Rządem, uzyskali możliwość od-wiedzenia Księdza Prymasa, a więc członkom Episkopatu, rodzinie, bliskim.

Była sobota, wigilia Uroczystości Chrystusa Króla. I odład przez rok, dzień po dniu, byliśmy świadkami i współczesnymi uczyc się od niego niezrównanego człowieka. Dzień po dniu mogliśmy uczyć się od niego niezwykłej sztuki zawierzenia Bogu, umiłowania Kościoła i Ojczyzny, umiejętności współpracy z innymi, zwłaszcza ogromnego szacunku i zaufania do drugiego człowieka. Później modliliśmy się często, by wielki Prymas nigdy nie zawiodł się na ludziach. On tak bardzo ufali! Uczyliśmy się również jego stosunku do świata przyrody, którą kochał i odczuwał na wzór św. Franciszka. Tak odbieraliśmy to na co dzień.

Ksiądz Prymas wszedł w tę nową zwyczajność jak we własny dom. Uczył, że nad całym życiem człowieka czuwa Boża Opatrzność i że

w każdej okoliczności dopełnia się jakaś odwieczna myśl Boża. To nam zostało.

Bardzo szybko poznaliśmy, że wiara jest źródłem jego mocy i niezłomnej postawy wśród wydarzeń. Ita, Pater — TAK OJCZE! — było w naszym odczuciu dewizą jego życia.

Od czasu ostatniej wojny, podczas której sponął kościół parafialny, nasza klaszorna kaplica spełniała rolę zastępczą — w niej koncentrowało się życie parafian.

Wiadomość o przebywaniu Księdza Kardynała w naszym domu szybko rozeszła się po okolicy. Zarówno w niedzielę, jak i w święta kościelne ludzie gromadzili się licznie w naszej kaplicy na Mszę św., by móc ujrzeć Księdza Kardynała. Nie tylko bowiem dla nas, ale dla wszystkich modlących się z nami wielkim przeżyciem było widzieć przy ołtarzu jego skupioną twarz, oczy przymknięte podczas wspomniania żywych i umarłych, słyszeć jego głos, wymawiający z namaszczeniem każde słowo. Wszystko to świadczyło, jak głęboko przeżywał Ksiądz Prymas każdą Mszę św. i każde spokanie z Bogiem na modlitwie. Prawdziwie czułyśmy wtedy, że modlitwa i liturgia są jego życiem i siłą w tym życiu.

Nie da się zaprzeczyć, że nasz ustronny dom w Komańczy stałby się miejscem pielgrzymek, gdyby nie fakt, jaki zaistniał w kilkanaście dni po przywiezieniu Księdza Prymasa. Władze państwowe włączyły Komańczę w pas graniczny i oddał bez specjalnych zezwoleń komend milicyjnych nie można było zatrzymać się ani dojechać do klasztoru. W pobliżu naszego domu ustawiono jednostkę WOP-u. Pozwolono jednak dojeżdżać do Księdza Prymasa księżom biskupom i rodzinie. Jedni z pierwszych przyjechali: ks. bp Michał Klepacz, ks. bp Zygmunt Choromański, ks. prałat Goźdźiewicz i dyrektor wydziału zakonnego — ks. Bronisław Dąbrowski. Przywieźli ze sobą ojca Księdza Prymasa — pana Stanisława Wyszyńskiego. Było to pierwsze od dwóch lat spokanie. Gdy wprowadzaliśmy sędziwego starca do przygotowanego pokoju, by mógł pozostać sam na sam z synem, byliśmy mimowolnymi świadkami sceny: Starzec ukląkł przed synem — dostojnikiem Kościoła, a syn kłęcząc całował ręce ojca. Powitanie nastąpiło na kolanach.

Czas pobytu Księdza Prymasa w naszym domu wypełniony był modlitwą, pracą, podobnie, jak to było w poprzednich miejscach. Odpowiadał na korespondencje, czytał, pisał rozważania liturgiczne na

tle Roku Kościelnego, opracowywał „List do kapłanów”, który przybrał wymiary książkowe, czytnił zapiski więzione. Wewnętrzne zdyscyplinowanie Księdza Prymasa i wierność ustalonemu porządkowi dnia nie pozwalały mu na zmannowanie bodaj jednej minuty czasu. Każda chwila była służbą Kościołowi i Polsce.

Bywało, że długo w noc paliło się światło w jego naroznym pokoju. Gdy cały dom pogrązał się już w ciszy i milczeniu, Ksiądz Prymas jeszcze pracował, modlił się i czuwał. A gdy i nam wypadła późniejsza praca, mogliśmy niekiedy spoknąć go na korytarzu. Szedł właśnie z lampą zapaloną w rękę na chórek kapliczny, na swoje samotne rozmowy z Bogiem. Ten chórek, to było ulubione miejsce Księdza Prymasa. To tajemnica jego spotkań z Bogiem. Jeszcze z Warszawy napisał nam — już po uwolnieniu — że najbardziej brakuje mu na Miodowej małego chótku z naszej kaplicy.

Ustalony przez Księdza Prymasa porządek dnia przewidywał także codzienny spacer. W poprzednich miejscach pobytu uniemożliwiano mu swobodne poruszanie się w terenie. A właśnie jesień była słoneczna i kolorowa. Wychodził więc Ksiądz Prymas na dalekie spacery i cieszył się dziką i piękną przyrodą okolic. Bezludne połoniny tęchły wielkim pokojem i ciszą. Ksiądz Prymas lubił i te lesne drogi jeszcze nie wytyczone i nie udeptane przez ludzi i dzikie jary, i całe to piękno wokół.

Nie chodził jednak sam. Gdy nie było nikogo z gości — ani siostr Księdza Prymasa: pani Stanisławy, pani Janiny czy siostrzeńca lub siostrzeńcy, gdy nie było żadnego z księży ani członkin jego Instytutu — my towarzyszyliśmy Księdzu Prymasowi w jego spacerach i wędrowkach po lasach. Wszyscy uzbrojeni byliśmy w długie kijy, w obronie przed ewentualnym zwierzem lub gąszczem leśnym. I tak kij — towarzyszył czy świadek wędrowek — przyjechał z Księdzem Prymasem do Warszawy.

Spacerujemy te są dla nas skarbnicą wspomnień. To była również prawdziwa lekcja. Każdego dnia Ksiądz Prymas czegoś nas uczył. Lekcją był kontakt z drugim człowiekiem i lekcją patrzenia na piękno i świat był każdy spacer.

Zdarzyło się, że Ksiądz Prymas przystawał nagle w lesie i chłonał piękno jakiegoś promienia słonecznego, który przedarł się poprzez konary drzew i jak snop iskier rozsypanywał się na gałęziach. Długo również patrzył nieraz poprzez takie „okno” lasu na widok rozlaczający

się szeroko. Czasem przystawał niespodziewanie i szeptał: „Jak cichucho”. Umiał też przyglądać się kropiom rosy zawieszonym na zdźbłach trawy, których my prawie nie dostrzegaliśmy. Przyglądał się nicim pajęczym, rozsnutym między gałkami, i przędzą babiego lata osnuwającej rzyśka. Wszystko dostrzegał i zauważał. We wszystkim umiał odkryć odbłask piękna Boga, podobnie jak i w refleksach zachodu, kładących się nisko w ośnieżonych dolinach. Dla niego przyroda i świat były prawdziwie domem Bożym, za który należało wciąż uwielbiać Pana.

Kiedyś przez jedno z takich „okien” widać było wyraźnie nasz klasztor. Ksiądz Prymas stanął na chwilę. Splecione ręce oparł na swym kiju i powiedział w zadumaniu:

— Zanim mnie tu przywieziono, ja ten dom już widziałem.

— Jak Ojciec mógł zobaczyć — spytałyśmy — skoro nie znał Komańczy?

— Widziałem i te filary, i całą tę architekturę budynku, i nawet pokój, w którym mieszkam obecnie. Jak wszedłem, zdawało mi się, jakbym go już znał.

Można widocznie w cierpieniu przeczuć i jakims tajemniczym widzeniem widzieć rzeczy, które przyjdą kiedyś.

Umiał również Ksiądz Prymas odróżniać zapach ziemi wiosną.

— Czy czujecie jak pachnie ziemia? — zapytał nas kiedyś.

On, syn ziemi, kochał ziemię i czuł niemal, jak oddycha. Może, jak mityczny Anteusz, który idąc w bóje całował ziemię — Ksiądz Prymas również nabierał mocy w tym szczególnym umiłowaniu ziemi?

Znamionym rysem duchowości Księdza Prymasa, zauważonym przez nas w tym okresie, oprócz ukochania człowieka i przyrody, była miłość do matki. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką dostrzegłyśmy u niego po przyjeździe do Komańczy, była podobizna matki, którą oprawił i ustawił na biurku. Stracił matkę, gdy miał 9 lat. Niebawem obok tej fotografii stanęła druga. Było to zdjęcie Matki Czackiej, założycielki Sióstr Franciszkanek od Krzyża. Ksiądz Prymas nazywał ją „Mateńką” i kochał za serce, które jemu — jak mówił — tułaczowi lat wojny, dla którego brakło niejednokrotnie domu i schronienia, gdy ścigany przez gestapo musiał uchodzić z Włocławka — otworzyło szeroko drzwi klasztoru w Laskach. Matka Czacka przyjęła go nie z musu, ale jak gościa oczekiwanego. Ksiądz Prymas doceniał to serce i tę dobroć pamiętał. Należał do ludzi, którzy długo umieją pamiętać doznane dobro.

Szczególną wdzięczność przechowywał w sercu dla rodziców. Pamiętam

niewco treść listu do rodzzonego ojca z racji 80-tej rocznicy jego urodzin, przepisywanego na maszynie, by ojciec sam mógł go odczytać.

Ze wzruszeniem i wdzięcznością dziękował w nim Ksiądz Prymas za przykład życia, za świadectwo żywej wiary, za czystość obyczajów i czystą krew. Za wzór modlitwy i trud ofiarnej pracy. Za zrozumienie jego kapłańskiego powołania i za ofiarne „tak” na kapłaństwo syna. List kończył się słowami pełnymi błogosławieństwa: „Synu Twego OJCA, Ojciec Twego Syna i mój duchowy Synu”.

Przeczytaliśmy się wszyscy widzieć w Księdzu Prymasie wybitnego męża stanu, wielkiego Prymasa Tysiąclecia, niezłomnego Księcia Kościoła. Komańcza odstoniła go nam w jego zwyczajności, w kontaktach ludzkich, w których był tak bardzo przyjacielski i bliski. Np. umiał zachodzić do ogrodu i oglądać plony siostr. W czasie sianokosów i zniw zachodził do koszących i niósł błogosławieństwo. Na zakończenie robót polnych stanął przy ognisku i jadł z siostrami pieczone ziemniaki. Może to są szczegóły, ale mówią wiele o człowieku i o jego wielkości na co dzień. Na kapuścianym liściu potrafił też przynieść kilka upieczonych ziemniaków dla siostry, która usługiwiała mu w rezydenturze, a nie mogła być przy ognisku. Siostrze infirmerce w czasie spaceru zbierał dzinurawiec, centurję i inne zioła. Siostrą z pralni przesyłał owoce — ku pokrzepieniu, a chorym coś ze stodoły i życzenia zdrowia. Siostrze, która sporządzała kopie niektórych jego listów, sam przygotowywał papier i stawiał kwiaty na stolniczku, żeby jej było miło przy przepisywaniu. Był to gest, na który nawet my kobiety nie zawsze umiemy się zdobyć — w stosunku do drugiego człowieka. Doniczkowe kwiaty, otrzymane w darze, wynosił na deszcz i pielęgnował. Czasem przywoływał którąś z nas, żeby pokazać szczególnie piękny zachód słońca, rozwijający się pęk ulubionych kaktusów lub też podpatrzone i na werandzie dokamiane plaki.

Ustronie nasze, chociaż praktycznie izolowało Księdza Prymasa od jego biskupich stolic i katedr, do których tęsknił całą duszą, umożliwiało jednak szerszy niż dotąd kontakt z księżmi biskupami i kapłanami, a przez nich z Kościołem w Polsce i za granicą. Niektórzy ówczesni księża biskupi niejednemu raz odwiedzali Księdza Prymasa. Można by wymienić wiele nazwisk takich jak: bp Michał Klepacz, bp Zygmunt Choromański, bp Franciszek Barada i bp Wojciech Tomaka, bp Wilczyński z Olsztyna i bp Jop — wówczas Krakowa, bp Bensch z Gorzowa, bp Pawłowski, bp Korszyński z Włocławka i bp Antoni Baraniak — po

uwolnieniu z więzienia. Przyjeżdżali również przyjaciele: ks. Władysław Padacz — kapelan, ks. Hieronim Goździewicz — sekretarz, ks. dyrektor Bronisław Dąbrowski, ks. prałat Kulczycki z Krakowa.

Te kontakty przynosiły dodatkową pracę. Ksiądz Prymas pisał nieraz dziesiątki listów dziennie. Z cichej Komańczy kierował bowiem nadal Kościołem w Polsce. Tam też dzień po dniu składał Bogu ofiarę swego odosobnienia, jako okup za Kościół, który był jego życiem, za Ojczyznę i za świat. Kiedyś, gdy któraś z nas zastała go zamysłonego przy oknie i zapytała:

— Czemu Ojciec taki smutny?

— Siostrze — odpowiedział — tyle pracy w Kościele. Powiniennem być na ambonie, w konfesjonale, a ja tutaj?!

Oprócz księży biskupów, którzy przyjeżdżali dość często do Komańczy, przychodzili do Księdza Prymasa różni ludzie. Jedni jako turyści, inni prywatnie lasami. Kiedyś członkini Instytutu, nie mając przepustki, szły nocą przez las. Nagle usłyszały ciężkie ślapanie. Niby czyjeś kroki. Strwożone upadły na ziemię i przywarły mocno jedna do drugiej. To sapiący dzik przeszedł tuż obok nich — jak później opowiadały, gdy przyszyły nad ranem.

Pobyt Księdza Prymasa w Komańczy był też dla nas lekcją przebaczenia. Przebaczenia tym, którzy wyrządzają krzywdę. 13 marca 1956 roku rano w jadalni Książd Prymas powiedział do księży:

— Uwierzycie mi czy nie, ale miałem dziś sen. Śnił mi się prezydent Bieut.

A właśnie w tym dniu radio podało wiadomość o śmierci prezydenta w nocy. Powiedział nam wtedy:

— Istnieje „communio sanctorum”. Ale istnieje też komunikacja duchów. Wiele modliłem się za prezydenta i dziś mi się przysnił. Widocznie potrzebuje pomocy. Dlatego też przez najbliższe dni nie będziemy wychodzić domu i będziemy pokutować. Niech Bóg okaże mi miłosierdzie.

Okoliczność malowania kaplicy i przeniesienia Sanctissimum do prowizorycznego pomieszczenia dała początek wspólnego Apelu Jasnogórskiego z Księdzem Prymasem. I odtąd codziennie modlił się z nami, ucząc własnym przykładem zawierzenia Matce Bożej, zgodnie ze swoim programem: „Wszystko postawiłem na Maryję”. Podczas tej

wspólnej modlitwy na różny sposób wołał do Niej. Z odnotowanych przez nas zapisków zostało nam:

Królowo Polski, Pani Jasnogórska, Dziewico Wspomożycielko, Przyczyno naszej radości. W godzinie Apelu Jasnogórskiego my, dzieci Twoje, biegniemy z krańca Ojczyzny naszej do stóp Twego tronu, aby wraz z całym wiernym Tobie ludem złożyć Ci hołd dziękczynny za Twoje królowanie. Pełni żywej wiary, gorącej nadziei, stajemy przed Tobą i włączamy się do uczuć, które owładnęły tych, co przy Tobie stoją. Dziękujemy Ci za Twoje królowanie nad Ojczyzną naszą za opiekę matczyną nad nami i nad rodzinami naszymi.

Świadomi zobowiązań, które Naród przyjął, składając Śluby Królewskie, prosimy, byś mu wybagała wielką siłę do ich wypełnienia, by tym razem Ciebie nie zawiodł. Oddajemy Ci całą Ojczyznę naszą, by pozostała zawsze wierna Tobie, Sercu Syna Twojego, Krzyżowi, Ewangelii.

Oddajemy Ci Kościół cały, poświęcony Twemu Niepokalanemu Sercu i Sercu Twojego Syna. Uproś mu siłę, by pozostał wierny zadaniom, które ma spełnić. Weź w opiekę biskupów i kapłanów, oraz wszystkich, którzy trudzą się około spraw Kościoła. Daj Kościołowi wolność, pozwól mu odetchnąć...

Prosimy o opiekę nad tymi, z którymi zespoleni jesteśmy przez więzy rodzinne i jedną wiarę. Wszystkich zjednocz i kieruj ku Bogu.

Oddajemy Ci samych siebie, wszystkie nasze myśli, uczucia i pragnienia. Nie chcemy, by cokolwiek było nasze i do nas należało. Wszystko oddajemy Tobie.

Oto są nasze prośby, które składamy w Twoje dłonie, abys je przedłożyła Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu.

Oddając się Tobie, przyzywamy Twój opiekę i wołamy wraz z ludem, który czuwa: Pod Twoją obronę...

Najbardziej wzruszyło nas to wołanie o wolność Kościoła: na Jasnej Górze, w parę dni po uwolnieniu, Ksiądz Prymas mówił: — „Człowiek stworzony jest do wolności — a zrozumieć, kim właśnie jest człowiek, to znaczy poznać, że chociaż byłby spętany, chociaż byłby niewolnikiem, chociaż byłby skrzepowany łańcuchami wszelkich praw i namietności, to ten człowiek jednakże jest stworzony do wolności i w naturze swojej pielęgnuje głębokie pragnienie wolności. Nie jest wolnością, a jednak jest z wolności, bo OJCEM człowieka jest WOLNY wolnych, który nikomu nie służy.”

W szczególny sposób zapamiętaliśmy także dzień imienin Księdza Kardynała. Gdy po zyczeniach dziękował nam za dach nad głową, za „dzielony z nim obojnym sercem chleb i miskę strawy” — mówił o swoim patronie, którego szczególnie czcił i kochał. Powiedział wtedy, że imię świętego Szczepana-męczennika było mu zawsze bardzo drogie i miało wymowę znaku. Było również jasnym drogowskazem i wezwaniem. Znamiennym wydał mu się fakt, że przyszedł na świat w nocy z 2 na 3 sierpnia, między dniami św. Stefana I — papieża, umęczonego za wiarę — a dniem znalezienia relikwii św. Szczepana, również męczennika. Te narodziny zdecydowały w bogobojnej rodzinie o podwójnym imieniu syna Stefan — Szczepan.

— Módlcie się — prosił nas Ksiądz Prymas — bym umiał iść ich śladami aż do końca, bez względu na ofiary, jakich Bóg zażąda, bym był wiernym swym patronom, choćby mi przyszło przełać krew dla Chrystusa i Kościoła. Proście, bym wytrwał na tej drodze do oszatka.

Niezapomnianym dla Księdza Prymasa dniem był 26 sierpnia 1956 r. Dzień Ślubów Narodu na Jasnej Górze. Cała Polska spodziewała się wtedy, że Ksiądz Kardynał — duchowy przywódca Narodu — będzie już wolny na tę dziejową chwilę — i jako inicjator Ślubów oraz Wielkiej Nowenny, odczyta napisaną przez siebie, tutaj w Komańczy, rotę Ślubowań Narodu. Ale nie wybiła jeszcze godzina wyzwolenia. Na znak jedności z wiernym ludem wymienione zostały hostie między Jasną Górą i Komańczą. O tej samej godzinie, pod Szczytem Jasnogórskim i w naszej kaplicy, odprawiona została uroczysta Msza św., a wieczorem tego pamiętnego dnia Ksiądz Prymas przedstawił nam przebieg uroczystości pod Szczytem, zapoznał nas z tekstem Ślubów Jasnogórskich i związaną z nimi tematyką Wielkiej Nowenny i ku naszej ogromnej radości powiedział, że zarówno tekst Ślubów, jak i Wielka Nowenna wypracowane zostały właśnie u nas w Komańczy. Idea Ślubów zrodziła się wprawdzie w Prudniku Śląskim czy wcześniej nawet, w Stoczku Warmińskim, ale umocniła w drodze do Komańczy. Dziwnym zbiegiem okoliczności szlak tej drogi pokrywał się ze szlakiem króla Jana Kazimierza, gdy jechał z południowego zachodu na południowy wschód. Zrodzona wcześniej myśl dojrzała i rozwinęła się w zaciszu leśnego domu. Stała się przy tym wielkim, zbiorowym aktem wielomilionowego Narodu, złożonym Maryi, jako „żywe wotum trwałsze od granitów i brązu”...
Październik upływał nam pod znakiem zapowiedzi Księdza Prymasa,

że zostanie przewieziony w inne miejsce. Wszystkie bowiem dotychczasowe zmiany dokonywały się w październiku. Niepokój dręczył nas dniami i nocą. Rok temu w październiku Ksiądz Prymas, przewidując zmianę miejsca, powiedział do towarzyszących mu w Prudniku osób — księdza Stanisława Skorodeckiego i siostry M. Leonii Graczyk:
— Was zwolnią, a mnie powiozą na południowy wschód.

I tak się stało.

Nad krajem tymczasem gromadziły się groźne chmury. Rosło napięcie i obawy. Trudno było przewidzieć, co przyniesie każdy następny dzień. Ksiądz Prymas był jednak spokojny i jak zawsze zdany na Bożą Opatrzność.

25 października znowu przyjechali do Komańczy, na rozmowy z Księdzem Prymasem, przedstawiciele władz: Zenon Kliszko, ówczesny wiceminister sprawiedliwości, i poseł Władysław Bierkowski. Gdy oznajmiłszy Księdzu Prymasowi ich przybycie, powiedział ze spokojem:
— Trzy lata na nich czekałem, niech teraz poczekają na mnie.

I poszedł na chórek do kaplicy. Gdy po długiej modlitwie szedł do rozmównicy, nam w dalszym ciągu polecił się modlić. Rozmowa z przedstawicielami władz trwała blisko dwie godziny. Na nasze pytanie, czy nie grozi mu nic złego, odpowiedział:
— Przyjechali prosić, bym zechciał wrócić do Warszawy. Sytuacja bowiem jest groźna. Tylko powrót może tę sytuację uratować.

— Pojedzie Ojciec? — spytałyśmy z troską.

— Moim obowiązkiem jest wracać.

Nim zdecydował o powrocie, przedłożył warunki, które tym razem zostały przyjęte. Dotyczyły:

— decyzji obsadzania stanowisk kościelnych przez biskupów;

— powrotu wszystkich biskupów ordynariuszy i pomocniczych na ich stanowiska biskupie;

— kontroli seminarów duchownych przez władze kościelne, a nie rządowe;

— prawa do swobodnej katechizacji młodzieży;

— prawa do prasy katolickiej.

Powrócił do Warszawy 28 października 1956 roku, w samą uroczystość Chrystusa Króla.

Niemal równocześnie przestały obowiązywać zakazy władz dotyczące Komańczy. Wycofano jednostkę WOP-u, rozbrano blyskawicznie strażnicę przy szosie, przed drogą prowadzącą do klasztoru, odzruciono

do rowu szlaban, zatrzymujący pojazdy. Strefa graniczna przesunęła się znów dalej.

Następnego dnia otrzymaliśmy depeczę: „Wróciłem w godzinie Apelu Jasnogórskiego. Z serca błogosławię. Stefan Kardynał.”

A w miesiąc później — 20 listopada 1956 roku, przyszedł list:

„Z samotni leśnej wypadłem na środek ulicy stołecznej, przez którą krzyżują się wszystkie sprawy ludzkie, pełne bólu i męki. Wszystkie one, na swój sposób każda, ocierają się o mnie, potrzebą mi wiele siły, światła, cierpliwości i spokoju, by im zaradzać. Módlcie się za mnie, bym podolał swoim obowiązkom. Staram się być równie zebrany w spokoju wewnętrzny jak w Komańczy. Ale to nie jest takie łatwe jak wśród was. Zachowuję wdzięcznym sercem wszystko, czego doznałem w Domu Świętej Teresy... Przesyłam nieco fotografii, jako wyraz łączności ze mną, i całym sercem błogosławię.

Oddany i wdzięczny Stefan Kardynał

«Komańcza Warszawska» 20 XI 56 r.”

VII.

W DOMU NA MIODOWEJ

*Ksiądz prałat Hieronim Goździewicz**

Odpowiadał na każdy list

Podam garść wspomnień osobistych.

Nie będę przypominał danych biograficznych ani opisywał rozległej działalności Księdza Prymasa, bo to jest zawarte w książkach. Natomiast podam szereg cech osobowości Prymasa Tysiąclecia, tak jak się rysują w moich wspomnieniach. Nie będzie to naukowy wykład, lecz kilka luźnych spostrzeżeń.

Na wstępie mało znany szczegół dotyczący nominacji. Śp. kardynał Hlond, poprzednik na stolicy gnieźnieńskiej i warszawskiej, na łozu śmierci prosił księdza doktora Antoniego Baraniaka o poufne przekazanie Stolicy Apostolskiej wiadomości, że proponuje na swego następcę ordynariusza lubelskiego, księdza biskupa Stefana Wyszyńskiego. Ojciec Święty w niespełna 3 tygodnie — idąc za podaną sugestią — mianował biskupa Wyszyńskiego metropolitą gnieźnieńskim, a więc Prymasem Polski, i równocześnie metropolitą warszawskim. Dokładnie 12 listopada 1948 roku. W tym samym czasie zbrali się w Krakowie u kardynała Adama Sapiehy wszyscy biskupi ordynariusze, by wybrać kandydatów

* Kapłan diecezji gnieźnieńskiej, Kierownik Sekretariatu Prymasa Polski.